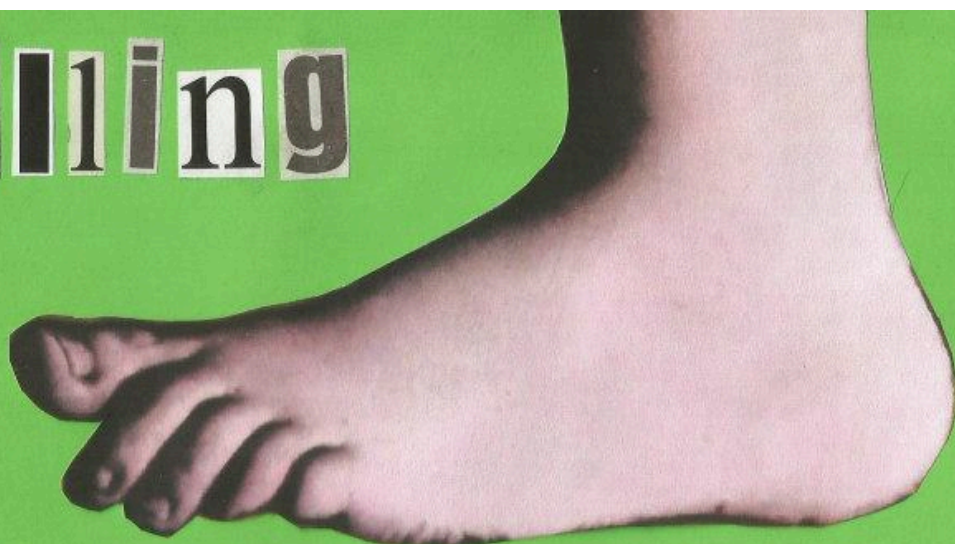


**Killing**

**Time**



X.P. 06.04.17

# Natalia Garczyńska "Krocze ze mną"

*Fahrenheit Crew*

Jest piękna urodą nocy. Drobna, porcelanową twarz okala burza kruczoczarnych loków, długie rzęsy skrywają lodowy błękit oczu, a srebrzysta sukienka podkreśla kobiece kształty i mlecznobiałą skórę, przez którą prześwitują niebieskie żyłki. Jest tak doskonała, że nie ma prawa istnieć. Bogini księżycowego światła.

Leży bez ruchu, pogrążona we śnie, z którego nie ma przebudzenia. Dokoła jej głowy ktoś rozsypał płatki kwiatów, a w złożone na piersiach dłonie wsunął bukiet z lili. Suknia połyskuje w migotliwym blasku świateł, pozwalając cieniom na wędrówkę wzdłuż łagodnych wzniesień i zagłębień ciała. Fale spokoju miękko uderzają o drewniane boki trumny, zmieniając ją w łódkę rzuconą na środek czarnego oceanu nicości. Wiatr życia ustał, pozwalając, by cisza słodko kołysała dziewczynę. I nie istnieje już nic poza dębową szalupą dryfującą po otchłani niebytu.

Nagle czar bezruchu pryska. To promień księżycy niczym złodziej wkrada się w półmrok kaplicy i zaczyna wolno pełznąć po podłodze ku podwyższeniu, na którym spoczywa posągowa piękność. Zastyga dopiero, gdy pada na bladą twarz. Spłoszone złym przecuciem świece drżą, cienie rzucają się do ucieczki, a kwiaty zwierają płatki. Wszystko, co żywe, kuli się i kurczy, i tylko sprzedajny czas przystaje w miejscu, by mogło zaistnieć to, co nie mieści się w zamkniętym ramionami sekund świecie.

Dziewczyna otwiera oczy i unosi się z atlasowej pościeli. Martwy wzrok demaskuje oszustwo, obnaża fałsz ruchów tej, która była kiedyś człowiekiem. Lecz ona, nieświadoma własnej śmierci, staje na zimnej posadzce. Kwiaty w alabastrowych dłoniach zabarwiają się szkarłatem, rubinowe krople spływają wzdłuż łodyg na nieskazitelną biel skóry i znaczą ją symbolami – od ich widoku jeży się włos na głowie. Łuna koloru rtęci tłucze witrażowe okna i wdziera się do pomieszczenia, zalewając podłogę srebrnym blaskiem. Chłód nocy lodowatymi palcami gasi świece i skręca karki stojącym w wysokich wazonach bukietom. Rozpoczyna się ceremonia zaślubin.

Bogini kroczy jaśniejącą posadzką. Idzie wolno, skąpana w nierzeczywistej poświacie, pozostawiając za sobą karminowy wzór. Piękna i krucha niczym chińska porcelana, sunie między ławkami, a świat wstrzymuje oddech. Naraz drzwi od kaplicy otwierają się na oścież i z głębin czerni wyłania się oblubieniec. Staje w progu. Wraz z nim do pomieszczenia wpada gorący powiew, tchnienie piekieł, od którego podłoga zajmuje się ogniem. Głodne płomienie okrążają dziewczynę, zamykają w gorejącym potrzasku, a potem unoszą się w powietrze na podobieństwo atakującej kobry. Lecz nie uderzają, tylko – kołysząc się niczym w transie – sykliwie żądają ofiary. Ich niezwykły śpiew sprawia, że prastare mury drżą. Teraz wolno opadają na posadzkę i podpełzają bliżej czarnowłosego anioła. Jeszcze bliżej. I bliżej. Wreszcie dosięgają ciała i niby węże owijają się wokół alabastrowych nóg. Już liżą rąbek sukienki. Lecz nienasycenie płomieni nie przerywa marszu wybranki ciemności, która kroczy przez kaplicę z bukietem płonących szkarłatem lili. Pan młody wyciąga ku ukochanej ramiona, obejmuje ją mocno, a ogień zamyka za nimi rozżarzone wrota.

Budzę się zlany potem i natychmiast spoglądam na leżącą spokojnie dziewczynę. Jest piękna jak we śnie: porcelanowa twarz, burza loków. Nachylam się i delikatnie głaszczę mlecznobiałe ramię. Nie jestem przesądny, nie wierzę w profetyczne przesłania majaków, a jednak nie potrafię wyplenić z serca kielkującego strachu, obawy przed utratą najdroższej. Ostrożnie muskam alabastrową skórę, jakby sprawdzając, czy pod dotykiem nie obróci się w popiół. Po chwili oddycham z ulgą i uśmiecham się blado. Nie zmieniła się w garstkę prochu, nadal tu jest. Z czułością patrzę na niewinną nagość czarnowłosej i wzdycham. Mógłbym tak siedzieć bez końca. Siedzieć i sycić wzrok. Doskonałością

rysów twarzy: pięknie wyrzeźbionymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem i pełnymi ustami. I stworzonym przez geniusza proporcji ciałem bogini.

Cicho szepczę modlitwę kochanków i przymykam oczy. Od kiedy ujrzałem ją pierwszy raz, nic nie jest takie jak wcześniej. Odebrała mi spokój ducha i zdolność racjonalnego osądu. Pociągnęła w nieznane, w nietkniętą złem rzeczywistość, każąc zapomnieć o brudach tego świata, o nędzy codziennej egzystencji, szarości świtu w wielkim blokowisku, śmierdzących klatkach schodowych, zataczających się sąsiadach, krzykach za ścianą i wszechogarniającej pogoni za pieniądzem. Jej nieskazitelność obnażyła żalostną prawdę o zgniliznie i upadku życia, w którym dotychczas tkwiłem, przekłuła bańkę ułud. Nagle zapragnąłem stać się równie doskonały, czysty i wolny.

Znów wzdycham. Gdzieś w głębi serca tkwi obawa, że ucieczka przed prawdą zawsze skazana jest na niepowodzenie. Ale pragnienie szczęścia jest silniejsze, więc przestaję myśleć o przyszłości i tulę się do dziewczyny.

Ostatnio Krzysztof wygląda na przemęczonego. Podkrążone oczy i blada cera zdradzają permanentny brak odpoczynku. Dzisiaj dwukrotnie zdarzyło mu się przysnąć przy pracy! Co za szczęście, że ludzie rzadko zagląдают do pracowni, przestraszyliby się nieprzytomnego mamrotania. Cóż, boi się. Wiem, że się boi. Nawet teraz trzęsą mu się ręce. Niedobrze. Nie, gdy wykonuje czynności wymagające precyzji. Powinien wreszcie wziąć się w garść i zapomnieć o strachu.

Zapala papierosa. Zaciąga się i nad czymś rozmyśla. Chyba w końcu podjął decyzję, bo gwałtownie gasi niedopałek, myje ręce i sięga po pędzel. Jak zwykle zostawił otwarte drzwi, więc widzę go dobrze. Przechyla głowę i marszczy brwi – uwielbiam przyglądać się, jak tworzy. Zawsze w skupieniu, zawsze z pełnym oddaniem. Jest pasjonatem, artystą z krwi i kości, co w dzisiejszych czasach nie zdarza się często. Ludzie zaharowują się dla pieniędzy, prestiżu, władzy, ale nie dla sztuki. A Krzysztof kocha to, co robi. A ja lubię Krzysztofa, jego smukłe, delikatne dłonie, ostry profil i zaangażowanie, z jakim poszukuje spełnienia. Chyba wierzy, że poświęcając się pracy, ucieknie, choćby na krótką chwilę, od znienawidzonej rzeczywistości. Wrażliwy, nieprzystający do świata chłopak. Ale prawda go dopadnie, prędzej czy później. Ma tego świadomość, dlatego ostatnio źle sypia, budzi się z krzykiem, a potem na nowo brnie w iluzję. Z ciekawością obserwuję, jak jego strach narasta wraz z upływem dni, które pozostały do uroczystości.

Biedny, wylękniony dzieciak.

I znowu kroczy jaśniejącą posadzką, znacząc podłogę kroplami krwi, a przekupny czas wstrzymuje oddech. Puste spojrzenie dziewczyny nie ogniskuje się w żadnym punkcie, zdradzając, że dusza porzuciła to doskonałe ciało, czarnowłosa jest martwa, a jeżeli się porusza, to za sprawą obcej mocy. To ciemność upomniała się o bladolicę cud natury, odbierając go śmierci, lecz nie zwracając życia. Tylko tak mogą się odbyć zaślubiny z piekłem.

Bogini idzie wolno, skąpana w nierzeczywistej poświacie, a z ławek wyciągają się ku niej starcze, pomarszczone dłonie. Długie, zakrzywione szpony czepiają się sukienki, szarpią delikatny materiał i drą na strzępy. Głodne ręce zdają się być wszędzie. Pełzną po ziemi i wspinają po drewnianych oparciach. Ach, dosięgnąć, dosięgnąć gładkiej, jedwabistej skóry! Naznaczyć dziewczynę ułomnością, wyrwać z kręgu nieżycia i zatrzymać dla siebie! – tylko tego chcą.

Lecz oto drzwi od kaplicy stają otworem i z czerni absolutnej wyłania się oblubieniec. Zrywa się piekielny wicher. Wiatr trzaska pustymi ramami okien, wywraca ławki, tłucze wazony i wyrwa kartki z leżącej przy ołtarzu księgi. Pan młody strzela palcami i podłoga zajmuje się ogniem. Starcze dłonie wycofują się natychmiast, zabierając resztki srebrnego stroju do innej rzeczywistości. Płomienie zamykają nagą dziewczynę w gorejącym uścisku, a ona w milczeniu poddaje się

spopielającej pieszczocie. Lilie jaśnieją szkarłatem. Oblubieniec obejmuje posągową piękność i prowadzi w noc. Rozżarzone wrota zatrząskują się za nowożeńcami z hukiem dobiegającym z trzewi samych piekieł.

Uroczystość zaplanowana na jutro, praca wre, a rodzice dziewczyny, jak gdyby nigdy nic, przychodzą i żądają, bym przerwał przygotowania, ponieważ *oni* chcą zobaczyć córkę. Wyjaśniam im spokojnie (choć trudno zachować spokój, gdy każde przymknięcie powiek przynosi koszmarnie obrazy, pogłębiając strach przed utratą ukochanej), że to nie jest odpowiedni moment na wizytę, że tylko wpadliby w szaleństwo cyklonu. Ponieważ upierają się przy swoim, z rosnącą irytacją tłumaczę, że przeszkadzają i powinni już pójść. Ojciec próbuje dyskutować, ale nie potrafię się przejąć pobrzmiwającą w lodowato uprzejmym tonie groźbą. Nie! Mieli wystarczająco dużo czasu, całe marne życie, by nacieszyć się widokiem dziecka. Nie muszą akurat teraz uzewnętrzniać rodzicielskich uczuć! Ale on wciąż nalega. Nie chce pojąć, że rola despotycznego tatusia dobiegła końca i już nie będzie decydował za dziewczynę, co jest dobre, co złe, z kim ma się zadawać, a kogo unikać. Peroruje wzniosłe, a ja patrzę na niego z niechęcią. To nie jest człowiek, dla którego liczy się szczęście córki. Zawsze ważny był tylko *on*, *jego* plany, ambicje i pomysły na przyszłość. Dlatego mnie nie lubi. Od początku dawał do zrozumienia, że nie wpisuję się w jego wizję „przyzwoitego młodego człowieka”, że jestem podejrzanym, choć niewątpliwie przydatnym dziwakiem. Co innego, gdybym był bankierem. Lub prawnikiem. W ostateczności księgowym. A jednak, drogi panie, to ja zasypiam i budzę się u boku dziewczyny. A pan... niechże pan wreszcie przejrzy na oczy. Cokolwiek się stanie, nigdy nie odzyska pan dziecka.

Zatrząskuję im w końcu drzwi przed nosem, wracam do ukochanej i opowiadam o wizycie rodziców. Nie komentuje, nie musi, i tak wiem, że postąpiłem słusznie. Żadna kobieta nie lubi być oglądana bez makijażu, odpowiedniej fryzury i perfekcyjnie pomalowanych paznokci. To dlatego, że oczy bliźnich zawsze szukają skazy, defektu, który utwierdzi ich w przekonaniu, że prawdziwe piękno nie istnieje... Dość! Brudy świata nie mają dziś wstępu do krainy szczęścia. Ciemnowłosa anioł jest mój. Mój i niczyj inny, a jutro... jutro nie istnieje.

Krzysztof od rana trzęsie się niczym w febrze. Przemęczenie, nawracające koszmary i nadmiar emocji związanych ze zbliżającą się ceremonią zmieniły go w kłębek nerwów do tego stopnia, że stracił dziś panowanie nad sobą i niepotrzebnie zadarł z rodziną dziewczyny. Przez uchylone drzwi słyszałem jego podniesiony głos. Naiwny głupiec. Skończy jak każdy, kto wierzy w infantylne „i żyli długo i szczęśliwie”. A przecież powinien mieć dość rozumu, by wiedzieć, że świat nigdy nie zaakceptuje go w roli kochanka. Jak by to wyglądało? Oziębły, zdystansowany do rzeczywistości i ludzi odmieniec i piękność, której świętym obowiązkiem jest spłonąć w ogniu namiętności...? Przecież to niemożliwe! Zupełnie nierealne.

Ech, Krzysztofie! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że życie nie jest tak urządzone, by każdy otrzymał to, czego pragnie? Jasne, marzenia o szczęściu to wspaniała rzecz, ale ciemnowłosa bogini nie tobie jest pisana. Stracisz ją, jak wszyscy, którym się zdawało, że potrafią powiedzieć „nie!” przeznaczeniu. Naprawdę chcesz się sparzyć? Proszę bardzo, tylko nie utyskuj na jej ojca. Owszem, oświadczył lodowatym tonem, że posuwasz się za daleko i nadużywasz zaufania, nie pozwalając mu zobaczyć ukochanego dziecka, ale czyż w gruncie rzeczy nie miał racji? Na Boga, przecież to jego córka! Nie musisz go lubić, lecz powinieneś szanować, a ty co? Myślisz, że cokolwiek zyskasz, że nie pokrzyżuje ci planów? Idealistyczny dzieciaku, lepiej zadzwoń jak najszybciej z przeprosinami. To tradycjonalista, człowiek żelaznych zasad, nigdy go nie przekonasz, że w życiu należy kierować się uczuciem. Baśń dobiega końca, chłopcze. Pora wyrosnąć z opowieści o miłości, która pokonuje wszelkie przeszkody, by w finałowej scenie złączyć kochanków na wieki. No już, odłóż pędzle i dzwoń! Przecież nie chcesz kłopotów.

Półmrok wypełnia kaplicę. Migotliwe płomienie świec kreślą na ścianach tajemnicze symbole.

Wschodzi księżyc, a wraz z nim podwyższenie, na którym spoczywa trumna. I znów luna koloru rtęci tłucze witrażowe okna i wdziera się do pomieszczenia, i znów pod dotykiem lodowatych palców nocy więdną kwiaty. A ona, piękna i czysta, sunie w srebrzystych oparach ku oblubieńcowi.

Z ławek wyciągają się złaknione, pomarszczone ręce. Zakrzywione szpony czepiają się sukienki, tarmoszą, próbując przerwać marsz ku ciemności. Niemal im się udaje, gdy wtem z hukiem otwierają się drzwi i w progu staje oblubieniec. Z uśmiechem zdobywcy spogląda na wybrankę, a potem lekko obraca głowę i ogniskuje wzrok na mnie. Patrzy długo, z jawną kpina, a w oczach bez źrenic czai się otchłań. I znów zrywa się piekielny wicher. Wiatr trzaska pustymi ramami okien, a wyszarpane księżde słowa mądrości wirują pod sklepieniem. Jednak nie boję się. Już nie. Wbrew decyzji świata ruszam za czarnowłosym aniołem. „To ja będę panem młodym, ja i nikt inny!”, krzyczę. Idę, a nienasycone dłonie wściekle szarpią moje ubranie, paznokcie wbijają się w ciało, byle tylko nie dopuścić mnie do dziewczyny. Krzysssztof, szepczą jadowicie. Nadużyłeś nassszego zaufania. Powierzyliśmy ci córkę, a ty chciałeś nass oszukać.” Obludnicy!”, wołam. „Wolicie oddać ją diabłu niż pozwolić, aby sen o miłości trwał!”

Wysłannik piekieł syczy nienawistne słowa, od których zaczyna się żarzyć podłoga. Jeszcze chwila i drgające jęzory ognia suną po posadzce, otaczają wybrankę mroku i zamykają w gorejącym uścisku. Chcę ratować ukochaną, więc miotam się desperacko, ale nie potrafię się wyrwać z płataniny wygłodniałych rąk. W końcu upadam między drapieżnie zakrzywione szpony. Jeszcze walczę, jeszcze wzywam dziewczynę z nadzieją, że usłyszy i sprzeciwi się przeznaczeniu, lecz ona nie zaprzestaje marszu. Płomienie wiją się wokół jej nagiego ciała niczym węże. Nagle wybuchają feerią barw, wytrącając bukiet ze smukłej dłoni. Lilie szybują w powietrzu, a potem spadają na ziemię, ochlapując mnie tysiącem drobnych kropli. Ocieram czerwień z twarzy i pokonany patrzę, jak bogini znika za rozżarzonymi wrotami. Moje serce zamienia się w popiół.

Kaplica nie przypomina gotyckiego wnętrza z koszmaru, który prześladowuje mnie od wielu dni, choć tu również palą się woskowe świece, a w wazonach stoją kwiaty. Jest nowoczesna, jasna i przytulna. Mównica, ławki, kilka niezobowiązujących obrazów – idealne miejsce na skromną ceremonię. Czekam w progu z bijącym sercem i spoconymi dłońmi. Przyjadą, nie przyjadą... Są. Zjawili się wcześniej niż podejrzewałem. Pierwszy wchodzi ojciec, poważny i spięty, świadom, że dzisiejszy dzień na długo pozostanie w jego pamięci. Mierzymy się wzrokiem bez zbędnych słów, niemal jak we śnie. Podniosłość chwili powstrzymuje go przed otwartym wyrażeniem uczuć, a i mnie przeszła ochota na dyskusję. Noc przyniosła zrozumienie i uzdrowienie z naiwnej wiary w możliwość ucieczki przed nędzą świata. Tylko głupiec pragnie zatrzymać piękno. Tylko głupiec wierzy w szczęście.

Teraz pojawiają się matka i siostra i po chwili cała trójka szepcze coś między sobą, popatrując co i rusz w moim kierunku. Czekam, aż podejmą decyzję i głową wskazują na drzwi prowadzące do przyległego pomieszczenia. Chcecie zobaczyć córkę? Proszę bardzo, nie zamierzam sprawiać więcej kłopotów.

Idziemy razem. Widzę łzy wzruszenia i dyskretnie odwracam wzrok, a potem spoglądam na zegarek ze smutkiem, którego nie powinni zobaczyć. Przecież już dawno wyznaczyli godzinę zaślubin i nikt ani nic tego nie zmienia. Pan młody na pewno niecierpliwie oczekuje ukochanej, a ja... ja nie chcę na to patrzeć.

Coraz bardziej niepokoi mnie stan Krzysztofa. Powinien wreszcie wyjść z pracowni, odpocząć i wyspać się porządnie w domu. Może wtedy przestałby tak źle wyglądać. Te sine podkówki pod oczyma, przekrwione białka i blada cera upodabniają go do upióra. Zachowuje się też cokolwiek dziwnie. Odświętnie ubrany, choć nikt go nie zaprosił na ceremonię, z niezdrową pedanterią czyści pędzelki i równiutko układa kremy, balsamy, pudry i cienie. Gdy z cichym trzaskiem zamyka walizkę, drżą mu dłonie.

Za jego plecami rodzina dziewczyny w uroczystym milczeniu całuje córkę. Drobna, porcelanowa twarz nie zdradza najmniejszego śladu uczuć, choć w kącikach ust zdaje się czaić delikatny uśmiech. Ojciec odwraca się w stronę Krzysztofa, chce coś powiedzieć, lecz rezygnuje i szybkim krokiem wychodzi z pokoju. Za nim podążają kobiety. Za oknem słychać narastający hałas, znak, że zaczynają zjeżdżać się goście. Wszyscy elegancko odziani, z ogromnymi bukietami w dłoniach, ściskają z dawną niewidzianych krewnych i wymieniają grzecznościowe uprzejmości. Powitanie zajmie im pewnie trochę czasu, i dobrze – najważniejsza osoba zdąży zająć honorowe miejsce.

Do pracowni śpiesznie wchodzi czterej wytworni mężczyźni w czerni. Nie zwracając na Krzysztofa najmniejszej uwagi, ostrożnie dźwigają trumnę, przenoszą do przyległego pomieszczenia i stawiają na podwyższeniu, a potem zapraszają przybyłych do zajęcia miejsc w ławkach. Gwar jeszcze przez chwilę rozbrzmiewa w powietrzu, lecz powoli przycicha, wypierany przez podniosły nastrój. Za moment zabrzmiały pierwsze, minorowe takty marsza.

Krzysztof machinalnie przeczesuje włosy, nakłada płaszcz, chwyta neseser i kieruje się ku tylnemu wyjściu z budynku, jednak po kilku krokach coś go zatrzymuje. Waha się, w końcu zawraca, ciężko opada na krzesło i zwiesza głowę. Minuty upływają, a on siedzi nieruchomo, zatopiony w myślach. Wreszcie zmusza się do podźwignięcia i niemal wbrew woli idzie ku przejściu do kaplicy. Gdy staje w progu, uroczysta mowa właśnie dobiega końca. Jeszcze chwila i przejmujący dźwięk trąbki przeszywa duszną atmosferę, a trumna zaczyna pomału znikać w moim wnętrzu. Przygarbiony, złamany mężczyzna bezradnie obserwuje nieubłagany ruch prowadzącej w zaświaty bramy. Nagle, na kilkanaście długich sekund wbija w zamykające się drzwiczki przepojony nienawiścią wzrok. Siła uczucia jest tak potężna, że przenika stal i uderza wprost w moje mechaniczne serce. Jednak wybaczam zazdrosnemu kochankowi. Jego gniew zdradza bezsilność, żal, że to nie on ukoi wewnętrzny chłód dziewczyny, nie on rozgrzeje przemarzniętą duszę, a ciało spopieli w żarze namiętności.

A potem myślę już tylko o posągowej piękności i zaczynam płonąć.